



POST CARD

TUESDAY

9

MAY

STEPHEN
FIGHTING

The Cloister
and the
Hearth

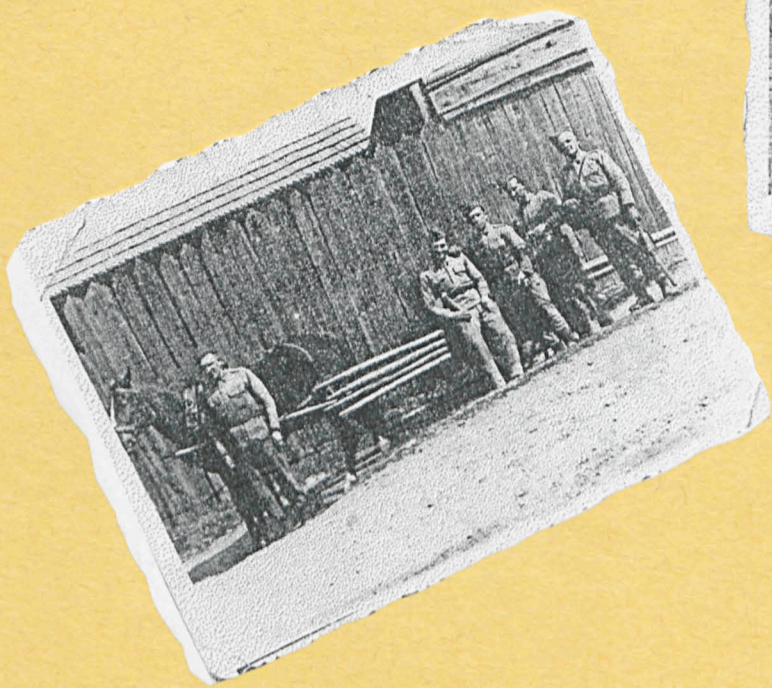
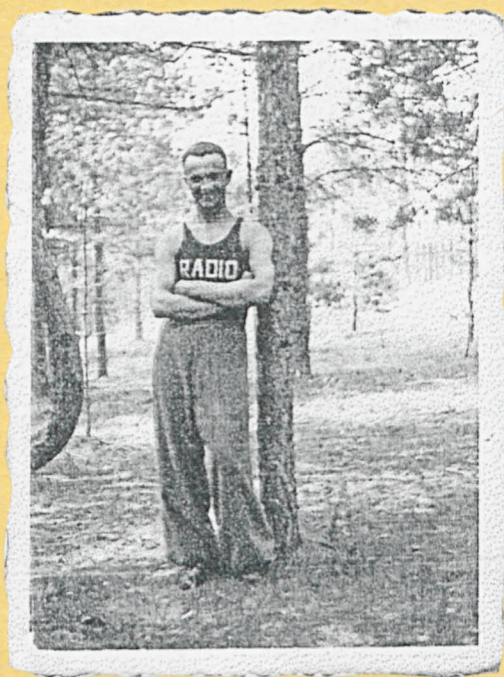
SPASHER
Washburn-Spurr
1911-1912

Fabrics
LARGE AND COLORED
FOR THE BEST CONNECTION
TELEPHONE - BOSTON 100

Bank of
The American Bank

111 Huntington Ave. Boston
Lowell, N.H. 03301
John Danvers 1912

W. H. & C. O. B. Co.
111 Huntington Ave. Boston
Lowell, N.H. 03301





Ocalić od zapomnienia

Echa lat minionych w zwykłych słowach zapisane

Gminna Biblioteka Publiczna

im. Kajetana Kraszewskiego

w Wisznicach

Wojenne historie

Ucieczka przed Niemcami

Moi rodzice ze strony mamy mieszkali w Wisznicach na ulicy Rowińskiej. W 1915 roku podczas I wojny światowej wraz z innymi uciekinierami przed Niemcami wyjechali do Rosji. Cały swój majątek zabrali na dwa wozy. Wozy miały kabłaki obciążone płachtami, co chroniło przed deszczem słońcem i wiatrem. Podróż była bardzo uciążliwa. Prowadzili ze sobą krowy, mieli zapas mąki, kaszy, okrasy. Krowy trzeba było poić, doić, dzięki temu mieli mleko. Po drodze musieli sprzedać je za marne grosze. Zdarzało się, że żołnierze zabierali je za darmo. Nie wytrzymując trudów podróży zmarła babcia Antonina i pochowano ją pod krzyżem na rozstajnych drogach. A trzeba było jechać dalej. Ta podróż trwała od sierpnia do zapustów przedadwentowych. W końcu dotarli do miejscowości Skoromet. Tam zostali przyjęci przez rodzinę, która przyjęła ich pod swój dach jako tzw. bieżenców. Mężczyźni tj. dziadek i wuj starali się o jakąkolwiek pracę, a ciocia Aleksandra brała dziecko na ręce i chodziła po prośbie, choć nie zawsze udało jej się wyprosić chleb i coś do chleba. Mówiła, że to było dla niej bardzo upokarzające, gdyż w Wisznicach uchodziła za bogatą. Nie zawsze dostawała datki, im bardziej ludzie byli zamożni, tym mniej dawali. Po trzech latach w 1918 roku wyjechali do Polski. Po powrocie zastali wszystko spalone, obejście zarośnięte pokrzywami, a wszystko co zostawiło zostało rozgrabione. Na obecnym placu Korszunów stała stodoła, w której zamieszkali. Kobiety i dzieci spały w bardzo małym spichrzu, a mężczyźni w stodole. Zabrali się do budowy domu. Zwozili drzewo z lasu z bardzo wielkim mozolem, dokuczał głód. Z opowieści mojej cioci wiem, że dziadek Prokop z ciocią Aleksandrą wracali z lasu do domu, żeby się najeść zupy bo nie mieli siły włożyć na wóz drzewa. Z czasem stanął dom, a na pokrycie dachu słomę zdobyli w ten sposób, że młócili zboże ludziom po to by dostać słomę. Dziadek chorował na serce, często miał ataki. Dom nie był wykończony, ale nareszcie zamieszkali na swoim. Moja ciocia Aleksandra owdowiała w wieku 26 lat.

Wybudowany dom był tak zimny, że w ogóle nie nadawał się do zamieszkania.
Dziadek Prokop Kupił nowy dom, przewiózł i ustawiła na swoim placu. Powoli życie
zaczęło się układać .

Opowiedziała Janina Maniowiec

Krótkie wojowanie

Dwa dni przed wybuchem II wojny światowej kilku mężczyzn z Dubicy Dolnej zostało powołanych do wojska. Wśród nich był mój ojciec Waszczuk. Rodziny odprowadziły swoich bliskich do kapliczki przy szosie bialskiej, wspólnie odmówili modlitwę i pożegnali życząc szczęśliwego powrotu. Po dotarciu do Białej Podlaskiej zgłosili się do jednostki wojskowej gdzie zostali umundurowani, zaprowiantowani i uzbrojeni. Na dworcu czekał na nich pociąg więc musieli się sprawić szybko, w czym pomagali im żołnierze z czynnej służby. Po południu wsiedli na podstawiony pociąg towarowy, załadowany bronią i odjechali w stronę południa. Rankiem dotarli do Skarżyska Kamiennej tam rozładowano pociąg a żołnierzy ulokowano w fabryce amunicji, którą mieli za zadanie bronić przed lotnictwem niemieckim. Rozmieszczone na dachu fabryki karabiny i działa przeciwlotnicze były obsługiwane przez domorośłych żołnierzy, do których zaliczał się mój ojciec, obsługujący karabin maszynowy. Po dwóch tygodniach obrony około 100 żołnierzy zostało skierowanych na południe. Trasę tę pokonywali pieszo. Po kilku kilometrach Wiktor Czelej - mieszkaniec Dubicy „pożyczył” sobie rower znaleziony przy drodze i oddalił się od kolumny chcąc wracać do domu. Daleko nie ujechał gdyż zatrzymali go Niemcy, aresztowali i wywieźli do rzeszy niemieckiej, gdzie spędził pięć lat w niewoli. Do idącej grupy wkradł się chaos, brak jednoznacznych decyzji uniemożliwił przemieszczanie się do wyznaczonego celu. Za radą dowódcy oddział żołnierzy tułaczy postanowił wrócić do domów. Mężczyźni wyruszyli kierując się na północ. Przemieszczali się przez lasy aby uniknąć spotkania z wojskiem niemieckim. Pewnego razu zatrzymali się na skraju lasu aby zdecydować jak znaleźć żywność, czy można iść do wioski oddalonej o kilometr i kto pójdzie poprosić o jedzenie. Rzecz się działa w okolicach Chelma, przypuszczali więc, że wioska może być zamieszkała przez ludność ukraińską.

Na wyprawę zgłosił się mój ojciec i żołnierz z Bokinki Pańskiej, którzy znali trochę język rosyjski i chachłacki, toteż w razie potrzeby mogli się porozumieć z mieszkańcami wioski. W pierwszej napotkanej chacie spotkali się z rodziną ukraińską, którą w języku rosyjskim poprosili o jedzenie. Gospodyni niezbyt przychylnie powitała nieproszonych gości odzywając się w te słowa:- wy jesteście Polacy, jesteście w polskich mundurach i język wasz nie jest czysto ukraiński. Ojciec aby załagodzić sytuację skłamał mówiąc, że od lat mieszkają wśród Polaków i dlatego ich mowa jest spolszczona. W chacie znajdowały się dwie dorastające panny - córki gospodyni, które ochoczo zaprosiły podróżnych do pokoju. W tym czasie gospodyni kończyła miesić chleb, który miała upiec w dużym piecu chlebowym, zajmującym połowę izby. Mężczyźni cierpliwie czekali na wypieki, przekonani, że dostaną chociaż bochenek ciepłego chleba. Kobieta obdarowała mężczyzn czterema bochenkami chleba i polaciem słoni wyjętej z bodni. Dziękując gospodyni za żywność mężczyźni szybko oddalili się w stronę lasu, gdzie z niecierpliwością czekali na nich towarzysze niedoli. Było ich siedmiu; trzech z Dubicy, trzech z Warszawy i jeden z Bokinki Pańskiej, mieli rowery, na których zamierzali przemierzać dalszą trasę. Po posiłku zdecydowali jechać dalej. Mieli przed sobą szeroką piaszczystą drogę, która uniemożliwiała dalszą jazdę to też musieli prowadząc rower dalej iść pieszo. Zauważyli, że z na przeciwka jedzie furmanka zaprzęzona w dwa konie, a na niej grupa banderowców. Jeden z warszawiaków miał na rowerze plecak wypełniony granatami, które szybko rozdał towarzyszom, na wypadek gdyby musieli się bronić. Jamci jednak wyminęli ich, odjeżdżając w przeciwnym kierunku. Mężczyźni ochłonawszy, wsiedli na rowery i pojechali dalej. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów, w okolicy Jagodna napotkali radzieckich żołnierzy, którzy kazali im zawracać. Trudno było się sprzeciwić, więc wsiedli na rowery i pojechali z powrotem. Po kilku kilometrach napotkali innych Rosjan, którzy prowadzili sporą grupę polskich żołnierzy. Oficer radziecki wszedł na czołg i zaczął przemawiać, że jest dobrego serca, daruje im życie o ile oni

złożą wszystką posiadaną broń. Polacy posłusznie złożyli do pobliskiego rowu karabiny maszynowe i granaty. Dalszą drogę przebyli w miarę bezpiecznie i po kilku dniach dotarli do Wisznic. Tutaj trudno im było przejechać przez szosę Sławatycze -Radzyń Podlaski ponieważ wojska niemieckie przez wiele godzin jechały z zachodu na wschód. Tatus , Makaruk i Waszczuk pożegnali kolegów z Warszawy i pojechali do Dubicy, a tamci w stronę Radzynia. W domu zapanowała wielka radość, dzieci z trudem poznały ojca, taki był wychudzony i zmęczony podróżą.

Pistolet

Było to pod koniec września 1939 roku. Do mojego wujka Michała Dragana przyszedł żołnierz polski. Powiedział, że po demobilizacji wraca do domu, jest bardzo głodny i strudzony podróżą. Poprosił o coś do zjedzenia i nocleg. Kiedy gospodyni przygotowała strawę, żołnierz zaczął opowiadać o swojej wędrówce. Mówi, że idzie już kilka tygodni od Chelma, a po drodze zdarzało mu się spotykać wielu ludzi, którzy niejednokrotnie byli grupą bandycką napadającą na okolicznych mieszkańców i podróżnych. Mówił też, że byli to ludzie narodowości ukraińskiej, którzy wówczas mieli złą opinię i każdy się ich bał. Kiedy wojska polskie zostały rozbite, nikt nie żądał od nich złożenia broni, więc każdy na własną rękę starał się ją zabezpieczyć, chowając lub zakopując w ziemi - z myślą by nie dostała się w nie powołane ręce. On jednak niósł ją ze sobą do miejscowości Grabówka. Tutaj napotkał grupę rabusiów, przeraził się i schował broń, zakopując w stercie liści pod brzozą. Żał mu było rozstać się z pistoletem francuskim, gdyż miał ona dla niego szczególną wartość sentymentalną. Wujek słuchając opowieści żołnierza postanowił odnaleźć ten pistolet. Nie czekając długo wsiadł na rower i pojechał do Grabówki, która od Dubicy oddalona była około 20 kilometrów. Mocno pedałował, bo jak wyjeżdżał słońce chyliło się ku zachodowi, a on chciał na miejsce dotrzeć przed nocą. Po dotarciu na miejsce odnalazł brzozę i ukryty tam pistolet, schował go to teczki i kiedy podniósł głowę z trwogą zauważył trzech żołnierzy idących w jego kierunku. Od razu rozpoznał, że byli to Ukraińcy. Pomyślał o rodzinie, małych dzieciach, których może już więcej nie zobaczyć. Nie namyślając się długo zsunął spodnie udając, że załatwia potrzebę. Jeden z mężczyzn zapytał - kuda jedziesz mrokom? Wujek odpowiedział, że jedzie do szwagra, który mieszka w Antopolu. Następny mężczyzna odezwał się pytając - To ty Misza? . Okazało się, że tym mężczyzną był parobek gospodarza z Wisznic i na szczęście rozpoznał wujka, ratując mu życie. Mężczyźni zabrali wujka ze sobą, doprowadzili na wartownię

kazali kłaść się na kupce siana. Ten z obawy aby mu nie zajrzeli do teczki położył ją pod głowę i całą noc czuwał nie zmrzywszy oka. Rankiem został zwolniony. Nie zastanawiając się wsiadł na rower i skierował się w stronę Ratajewicz. Nagle zatrzymał go jeden a Ukraińców mówiąc: miałeś jechać do szwagra do Antopola , a to nie w tym kierunku. Wujek zaczął się gęsto tłumaczyć, że miał wrócić na rano do domu , więc już do szwagra nie pojedzie gdyż będą się w domu martwić, że go nie ma. Tłumaczenie było sensowne, więc tamci uwierzyli. Dojeżdżając do Ratajewicz pomyślał, że wstąpi do Państwa Pyszków, gdzie trochę odpocznie. Opowiedział im swoją historie z ostatniej nocy, posilił się trochę , wsiadł na rower i szczęśliwy, że żyje skierował się stronę domu.

Sabotaż

W 1943 roku, mój tata Franciszek Waszczuk Był sołtysem w Dubicy Dolnej. Trudna to była funkcja, szczególnie w czasie wojny. Sołtys był nękany zarówno przez okupanta jaki i przez grasujących rabusiów, partyzantów oraz każdego kto miał broń. Pewnej nocy moich rodziców obudził łomot do drzwi, usłyszeli, że do drzwi dobijają się partyzanci. Kiedy otworzyli drzwi, do domu wtargnęło kilku mężczyzn, którzy kazali ojcu natychmiast zebrać grupę mężczyzn z okolicznych domów. Mężczyźni mieli przyjść z siekierami i piłami do ścięcia drzewa. Szybko zebrała się grupka przerażonych mężczyzn, którzy wiedzieli, że czeka ich jakaś nocna akcja. Partyzanci zebrali chłopów i poprowadzili do szosy Wisznice-Biała Podlaska, gdzie w okolicy kapliczki na zakręcie rozkazali im wycinać słupy telefoniczne. Zostało ściętych kilkanaście słupów, co przerwało łączność telefoniczną. Mężczyźni ukończyli pracę nad ranem i zostali zwolnieni do domów. Z samego rana na podwórzu zajechał samochód i wysiadło z niego kilku żołnierzy niemieckich. Poinformowali ojca, że ktoś w nocy ściął słupy telefoniczne, a on ma się zgłosić o godzi 8 na komisariat żandarmerii w Wisznicach. Ojciec zatrwożył się, wiedział, że z Niemcami nie ma żartów, może nawet przyplacić to życiem. Mama płacząc zdecydowała, że do Wisznic pojedą furmanką, ona oczywiście też i weźmie ze sobą małe dziecko, błagając Niemców o litość. Zdecydowała, że zabierze ze sobą mnie. Przed budynkiem stojący żandarm w granatowym mundurze, wiedział już co się stało i powiedział do ojca: Waszczuk, przepadłeś -. Rodzice weszli do pomieszczenia, w którym za stołem siedział komendant żandarmerii. Od razu napadł na ojca i zaczął strasznie krzyczeć. - W nocy wycięto słupy telefoniczne, wiemy, że ty tam byłeś. Jak może sołtys może robić taki sabotaż. Długo krzyczał aż w końcu kazał mu się tłumaczyć. Tata wiedział, że z Niemcami trzeba rozmawiać uczciwie, odpowiadać bez kręactwa. Mam siedmioro małych dzieci, zaczął, nie mogłem nie wykonać rozkazu partyzantów, gdyż mógłbym stracić życie.

Matka przyłączyła się płacząc i błagając o litość, prosiła żeby ojcu darować, bo jak go zabiją kto wychowa gromadkę małych dzieci. Niemiec krzychał- jest wojna atu taka dywersyjna robota-. Nie pomogło nawet całowanie po rękach przez matkę. Żandarm krzychał, krzychał na ojca aż po chwili złagodniał i mówi tak: - Jesteś wolny, jedź do domu, zbierz ludzi i na nowo odbuduj wycięte słupy, linie podłączą technicy z Parczewa -. Żeby na przyszłość trudniej było uszkodzić linie telefoniczne, słupy na wysokości 2,5 metra zostały obite drutem kolczastym. Przez to zdarzenie szczęśliwie nikt nie stracił życia, ale do końca wojny mieszkańcy Dubicy Dolnej wiele wycierpieli nękani przez Niemców w dzień, a nocą przez bandy i partyzantów.

Opowiedział : Ryszard Waszczuk

Do
Honordajna Pułku

Arosi Sokołowska Katarzyna
żeni. z os. Hotodymce, gen. Hisznie
pou. Włodarskiego

Podanie

Arji żego Sokołowski Jan utrodony z 1908 r. z
żeniszemu miastu H. został powołany cesarowi do wojska
jako lekarza, kłoty powstawił mis z dwójga nielotnic
diecei syna cesarowa lat 6 i ciotkie stefanije lat 2, oraz meż
ojca stefanio lat 66 żiadkie Katarzyna lat 56 i matke
brata Aleksandra lat 80 kłoty jest głucho-niemny

Rodina składajęca się z 6 osob do pracy jest niemoż
ponieważ dzieci nielotnic, ojciec z powodu starości i stęgo
stanu zdrowia pracować niemoż, jako dowód zażyciam
zaświadczenie doktora, zaś żiadka i żiadki brat starowie
80 letni do tego głucho-niemny, potrzebując jeszcze przy sobie
stałej opieki, żia gospodarstwie rolnem składajęcem się z
4 ha lat. gruntu z dobrych urodzajach ucało pracować
niema koczni, przez tego żięż żymieniony przed odjeżciem
zażyczał dżęgi kłotzek niemam możliwości spłacać, obecnie
nadechodzą najbliższemu pota tobut ż. j. sbiotów, tobotnika
żyżaję niemam żaco otrzymanu żasitęk musiatam żięż na

utrzymanie rodziny, gospodarstwo i tak znajdujęc się w ciężkiej
stanie z każdym dniem spada, tak się zastanawiam się jeszcze
taki stan będzie trwał długo, co będzie dalej jeżeli zbunt rosta
i czas nieubytany i na liście pole nieobciążone i swoim czasie

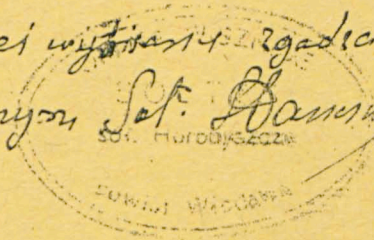
Kobca tego uznajmie proze Kowalczo Tutka o
swołnienie mego czasu Eskotowskiego czasu przynajmniej
na czas potrzebnych robót polowych. Klóte się już zaczęły, arch.

też się mogę przeje i zapiekuwać się gospodarstwem. -

- os. Kowalczo die 2 lipca 1929r.

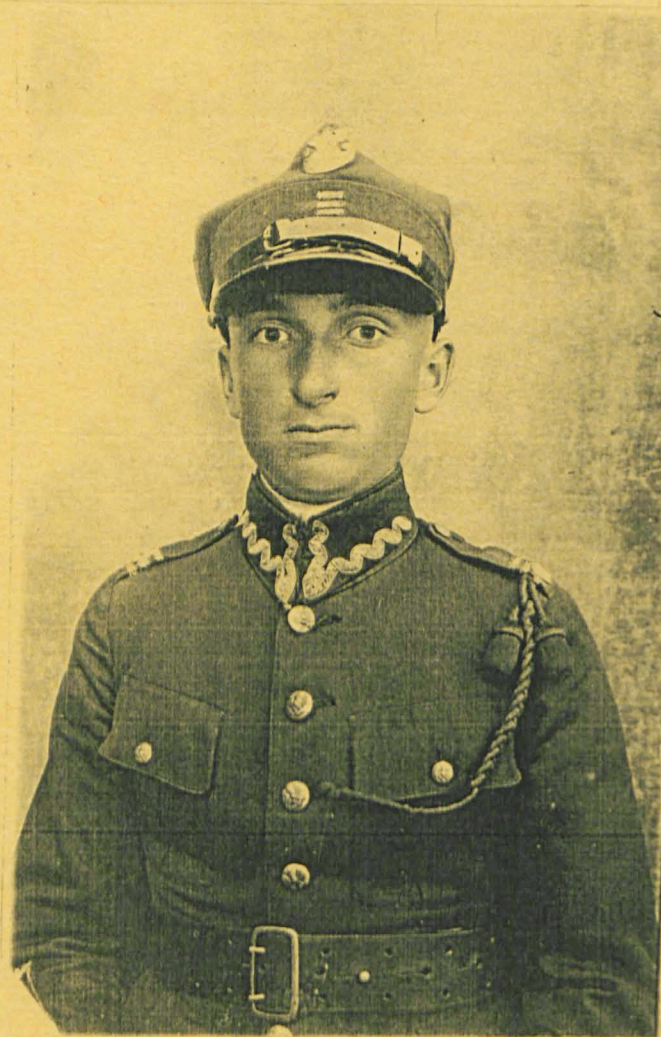
Na niepisaniemu po jej robistki prosbis rozpisał się J.

Wyreś wytrawny i zgardzanie stanem
Tantymyom Jof. Kowalczo





Jan Sokolowski w wojsku



posta C. Skotowski Jan

Wroclaw dnia 10 X 1939 roku

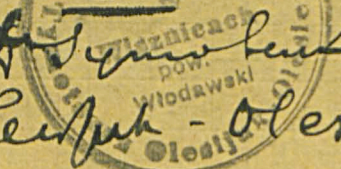
Drogi bracie i kolego przedstawiam ci ciebie i zycie ci wyszkiego
najlepszego a szeregulnie tego czego ty pragniesz
wyszkiego juz wyszeli ze wyszjesz a skoro ty dowiedzieli
o linciu od ciebie to dyktowali Bogu ze chce zycie to moze
kiedy wrucisz donosze ci ze zonia twoja jest zdrowa i dzieci
i jakos gospodarzy chce zniekno biedo pomagaja wszyscy jak
mogo hartowali to mowi rehanopala tyle jak nigdy zta
ter mlodzi namywala a onow to zeparli ty wyszcy przemietomy
do mnie i wmtuceli maszyno ztem wyszkicem jakos tam bydzie
aby ty byl i wrucil unas u niocze to pranie me ty nie emieni
bo cale wyszko tak pranie ze matosnyco widieli bylo duno rabra
do wojaka ale wruceli tylko ci ktury byli na Pomorzu to nima
ale listy przychodzo byl list od Jarega Bartkowskiego do on u Bydga
u szpitalu podobno zdzie wrnado. Jasia. Cybulskiego Fr. chwaleczka.
Zukowskiego Fr. Chakowicza Jana i Tadeusza ditwina z Rosji
ter wniwoli a te mlodzi chtopaki wszyscy przyli tylko niestychi
Semetucha i Selenenia Franka. nima was jeneru 13. ale tyld ty
lwuch nima wjadomosci a to reszta wszyscy w domu Jozef ter byl
abrany ale pobyt pare tygodni i przyrad teros zonia twoja napisala
podanie i stozyla zeby ciebie zwelmiti do domu pytala ty niemcow i
tak tyj ponidzieli i Karolka Bartkowska ter postala

Zaświadczenie

Niniejszym stwierdzam, że Pan Stefan Parulski, lat 65, zamieszkały w Horodyszczu, gm. Włociszewo, pow. Włodawski, na od czasu światowej wojny uszkodzenie ręki prawej, polegające na skróceniu ścięgna i całkowitym przykurczu palca czwartego o powławiła p. Parulskiego możliwości rąk chwytanych obu rąk. Na obu rękach stwierdza się podległość raka starca. Na skutek wyżej zaznaczonego oraz ze względu na ogólny stan organizmu, zdolność pana Parulskiego do ciężkiej pracy fizycznej w gospodarstwie wiejskim jest znacznie obniżona.

Niniejsze zaświadczenie zostało wydane na zgodzenie p. Stefana Parulskiego w celu przedłożenia władzom wiejskim

Włociszewo 6 Czerwca 1939 r.


Oleśnik - Oleśnik

Wielki pożar

Był rok 1934. Po wilgotnym kwietniu nastął ciepły i słoneczny maj. Gospodarze wychodzili na swoje pola i zastanawiali się, jakie będą w tym roku plony. W niektórych domach na przednówku brakowało ziarna na mąkę. Patrząc na bujne zboża wszyscy mówili, że plony będą dobre. Na pewno w przyszłym roku chleba nie zabraknie. Pierwsza niedziela w maju przypadła szóstego maja. Bonifacy zwykł wstawać rano, zaraz po wschodzie słońca. Mawiał: - Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Zrywał się z pościania, wdziewał robocze ubranie i szedł robić „obrzątek”. Trzeba było napić konia i dać mu obroku. Dorzucić siana krowom, bo w niedzielę nie wyganiano na pastwisko. Dojeniem krów i karmieniem świń zajęła się Wiktoria. Gdy te czynności zostały wykonane, trzeba było budzić dzieci, by się przygotowały na mszę. Chłopcy myli się na podwórzu przy studni, bo w kuchni stały jeszcze krosna, na których w wolnych chwilach tkano płótno. Gdy chłopcy się umyli, matka przygotowała im czyste koszule. Starsza siostra Genia pomagała w ubieraniu dwuletniej Jadzi. W tym czasie matka grzała mleko na śniadanie a ojciec, jak to w niedzielę zaintonował „Godzinki do Najświętszej Maryi Panny”. W powszednie dni śpiewano „Kiedy ranne wstają zorze”.

Kult Matki Boskiej w rodzinie Romanowiczów był wielki. W pokoju na stole stała figurka NMP Niepokalanej, przywieziona z pielgrzymki do Częstochowy. Babka Anna ubrana w długą, brązową spódnicę oraz barchanową bluzkę (prezent od syna - księdza Jana) i w batystowej, białej chustce na głowie, szła do kościoła. Wychodziła z domu bez śniadania, ale zabierała ze sobą w wężelku skibkę chleba. W czasie mszy przystępowała do komunii, więc musiała iść na czczo. W niedzielę była na wszystkich mszach i nieszpórach. Do domu wracała dopiero na wieczór. Wszyscy, którzy znali Annę szanowali ją bardzo. Anna była matką księdza, „który jest uczony i pracuje w Warszawie przy ważnym biskupie” - tak mawiały jej kumy. W domu chłopcy już się wyszykowali. Buty wyczyszczone stały na schodach. Do kościoła będą biegli na bosaka, dopiero pod bramą kościelną otrzepią nogi z piasku i włożą buty. Matka wlewa do kubeczków gorące mleko. Każdy dostaje pajdę chleba grubo posmarowaną masłem. Chleb w każdą sobotę piekła sama Wiktoria. W dzieży na zakwasie

rozczywała mąkę, a gdy ciasto urosło, wyrabiała 12 bochenków chleba i wsuwała na drewnianej łopacie do pieca. Taki chleb jadło się ze smakiem bez smarowania i bez innych dodatków. Przed wyjściem ojciec dał każdemu pieniądze na tacę i na lody.- Tylko lody kupujcie od pana Parchomiuka - powiedział odchodzącym. Jan Parchomiuk, syn ciotki Marii, miał w Wisznicach sklep kolonialny. Można tam było kupić artykuły spożywcze, kosmetyki, zeszyty szkolne i słodczyce. W letnie upalne dni, a szczególnie w niedziele „kręcił” lody i sprzedawał po 5 groszy za gałkę. W zimie, podczas najbardziej mroźnych dni, cięto piłami tafle lodu na stawie. Potem zwożono do szopy i przykrywano dużą warstwą trocin. Tak zabezpieczony lód służył do robienia lodów śmietankowych przez całe lato. Bryłę lodu rozkruszano do wiadra. W wąskim naczyniu blaszanym umieszczano śmietanę, czasem do smaku dodawano jakieś owoce i cukier. Przygotowaną masę wraz z naczyniem wkładano do wiadra z kawałkami lodu i kręcono ręcznie aż masa zamarzła. Tak przygotowane lody trzeba było szybko sprzedać, zanim się rozmrożą. Wyprawiawszy dzieci z domu Bonifacy i Wiktoria sami zaczęli szykować się na sumę. Nie byli rodziną zamożną, ale żyło się im dostatnio. Mieli kilka hektarów ziemi, lasu i łąki. Zabudowania gospodarcze były nowe, wybudowane po spaleniu się zwartej zabudowy wioski. Z inwentarza żywego mieli konia, kilka krów, maciore z młodymi prosiętami i cztery „warchlaki”. -Jednego świniaka zabijemy na żniwa, drugiego na Boże Narodzenie a dwa sprzedamy i będą pieniądze na domowe potrzeby - tak uradzili. Za stodołą aż do rzeki Zielawy ciągnął się ogród warzywny. Rosły tam ogórki, pomidory, kapusta, marchew i buraki. Po lewej stronie domu posadzono kilka rzędów wczesnych ziemniaków zwanych „amerykanami”. Po prawej, w małej lepiance mieszkał Żyd Szmul Nuchim. Przy lepiance stała jego kuźnia. Stosunki sąsiedzkie między Żydem a rodziną Romanowiczów układały się dobrze. Żona Szmula pomagała Wiktorii w pilnowaniu małych dzieci, za to dostawała świeże mleko i jaja. Bonifacy wchodząc do kościoła zauważył dziwne poruszenie w domu Szmula. Żona pakowała rzeczy i wyносиła z domu - czyżby chcieli się wyprowadzić? - pomyślał.

Dzieci już wróciły z kościoła i otrzymały wskazówki jak mają się zachować podczas nieobecności rodziców. Do Wisznic było 2 kilometry. Niektórzy zaprzęgali konie i jechali

furmanką. Bogatsi mieli na takie wyjazdy bryczki. Bonifacy oszczędzał konia, którym przez cały tydzień pracował w polu i wraz z małżonką, chociaż była w szóstym miesiącu ciąży, szedł do kościoła piechotą. Podczas kazania ktoś zdyszany wpadł do kościoła i krzyknął: - Dubica się pali! Bonifacy wybiegł z kościoła i od razu zobaczył nad Dubicą czarne chmury dymu. Nie miał wątpliwości, dym wydobywał się z miejsca, gdzie stał jego dom. Nie wie ile czasu zabrało mu pokonanie odległości od kościoła do domu. Zabudowania gospodarcze były całe w ogniu. Dom mieszkalny też się palił. Nie wahał się ani chwili. Wskoczył do domu i szukał czy nie ma w nim dzieci. Upewniwszy się, że nikogo w izbach nie ma, postanowił ratować dobytek. Wyrwał z krosna nawinięte na wałek płótno i wyrzucił przez okno. Zawahał się, co może jeszcze uratować. Dym zasłaniał mu oczy, a żar, który bił od palących się ścian nakazywał mu opuścić to pomieszczenie. W ostatniej chwili zauważył stojącą na stole figurkę Niepokalanej. Chwycił ją w obie ręce, ale gorąca figurka rozsypała się w dłoniach. - Bonifacy uciekaj! - coś mu mówiło. Był blisko okna, więc wspiął się na parapet okienny, by wyskoczyć na zewnątrz. W tym momencie spadający sufit wyrzucił go na podwórko. Dorobek kilkuletniej pracy poszedł z dymem. Zabudowania się spaliły, ale wszyscy zostali cali i zdrowi. Nieszczęście spotkało nie tylko rodzinę Romanowiczów. Ogień przenosił się z zabudowania na zabudowanie. Zaraz obok paliła się zagroda Kaczanów, następnie Wiczuków. Dziwnym trafem ogień przeleciał nad zabudowaniami Makarewicza i zapalił dom Jaszczuków. Ogień niósł się aż do zabudowań Banaszczuka. Dalej była większa przestrzeń między domami. W międzyczasie zdążyła przyjechać furmanką Ochotnicza Straż Pożarna z Wisznic. Niewiele mieli do roboty, bo ogień zdążył już strawić wszystkie gospodarstwa. Bonifacy z Wiktoria odnaleźli swoje dzieci. Marian, Janek i Stasiak stali opodal z innymi gapiami. Genia z małą Jadzią uciekły na drogę i schowały się w stogu. Inwentarz żywy ocalał niemal w całości. Jeden z mieszkańców wsi szedł do kościoła nieco spóźniony. Gdy zobaczył pożar, ostrzegł dzieci by wyszły z domu, następnie otworzył oborę, by wypuścić krowy. Miał kłopot z wyprowadzeniem konia, który przestraszył się ognia i nie chciał opuścić stajni, natomiast świnię w żaden sposób nie chciały wyjść z chlewa i spaliły się. Rodzina i sąsiedzi, którzy nie ucierpieli z powodu pożaru udzielili pierwszej pomocy poszkodowanym. Nikt z pogorzalców nie był ubezpieczony w „fajerkasie”, gdyż budynki nie były jeszcze wykończone,

natomiast wysokie odszkodowanie dostał Żyd - kowal. Miał ubezpieczoną swoją lepiankę na wysoką sumę. Prawda była taka. Żyd chciał się z Dubicy wyprowadzić, ale domu nikt nie chciał kupić. Kuźnię i lepiankę ubezpieczył na wysoką sumę. W niedzielę rano cały dobytek wyniósł i dom podpalił. Wybrał taki moment, gdy wszyscy byli w kościele. Po kilku miesiącach, gdy spotkał Bonifacego, przyznał się do podpalenia swego domu. Nie miał złych zamiarów i nie sądził, że ogień się rozszerzy, bo nie było wiatru. Przepraszał za ten czyn, ale faktów nie da się odwrócić. Brat Bonifacego, ksiądz Jan, dowiedziawszy się o nieszczęściu przysłał 800 złotych. Za te pieniądze rodzice kupili dużą na dwie pary wrót stodołę. W tej stodołę, trzy miesiące po pożarze 17 sierpnia 1934 roku przyszedł na świat ostatni syn Bonifacego i Wiktorii. Matka dała mu na imię Jacek. Ksiądz stryj, który przyjechał z Warszawy, by ochrzcić malucha, proponował dać imię August. Prymasem Polski w tym czasie był kardynał August Hlond - salezjanin i dobry znajomy księdza Jana. Rodzice się zgodzili, ale gdy ojciec zgłaszał w kancelarii parafialnej, organista spisujący akt zajrzał do litanii i tam było wezwanie „święty Augustynie - módl się za nami”, więc w księdze chrztów napisał: na chrzcie św. Dano dziecku na imię Augustyn - Jacek. Małe dziecko musi mieć imię zdrobniałe, dlatego w domu nazywano go Gucio. Babka Anna, która małego wnuczka bardzo lubiła, wołała na niego Gusiu. W szkole podstawowej był zapisany jako Gustaw. Gdy już Gucio podrośł, takie zdrobniałe imię nie pasowało, dlatego wrócono do imienia wybranego przez matkę - Jacek. I tak jest do dzisiaj, gdy August, Augustyn, Gucio, Gustaw i Jacek w jednej osobie skończył 70 lat.

Druga wojna światowa

Koniec lata 1939 roku był upalny. Z lampowego radia firmy Telefunken, które ojciec niedawno kupił, płynęły melodie patriotyczne i apele o czujność przed wrogiem. „Nie oddamy ani piędzi ziemi, nie oddamy nawet guzika” – brzmiały oświadczenia polityków. Pod koniec sierpnia nastąpiła mobilizacja mężczyzn, którzy nie ukończyli 40. roku życia. Bonifacego mobilizacja nie obowiązywała ale musiał do jednostki wojskowej oddać swojego konia „Łysą”. Trzeba było odstawić go do punktu mobilizacyjnego taboru pod Chełmem. Punkt mobilizacyjny przyjął konia wraz z furmanką. Ojciec wrócił do domu zmartwiony. Bez konia nie było środka transportu i nie można było pracować w polu.

W połowie września ojciec znalazł innego konia, który zbiegł z taboru i pał się na łące. Wielu sąsiadów dostało karty powołania do wojska. W rodzinach były pożegnania i płacz. Sąsiedzi przychodzili do nas, by usłyszeć z radia wiadomości o wojnie. Kobiety kupowały sól i naftę do lamp. Elektryczności jeszcze nie było.

Pierwszego września rano usłyszeliśmy komunikat, że wojska niemieckie napadły na Polskę. Naczelnny Wódz Rydz - Śmigły zagrzewał do walki w obronie ojczyzny. Wojska niemieckie szybko posuwały się w głąb kraju napotykając niewielki opór. Walki toczyły się nad Bzurą, pod Mokrem i Kockiem. Wielu ludzi uciekło przed Niemcami na wschód. Na drogach panował chaos. Rząd przez południową granicę uciekł do Rumunii. Wojna toczyła się gdzieś daleko ale nad Dubicą przelatywały niemieckie samoloty bombardujące lotnisko w Białej Podlaskiej. Zmobilizowano na wojnę policję i posterunek w Wisznicach stał pusty. Wiadomości z radia i suplikacje śpiewane w kościołach mówiły o tragedii jaka spotkała nasz kraj.

25 września wczesnym rankiem na podwórko wszedł oddział żołnierzy sowieckich. Ubrani byli w jasnozielone mundury. Szerokie bluzy wypuszczone na spodnie, przepasane były pasem rzemiennym, wysokie buty i na głowach furazerki z czerwoną gwiazdą. Byli uzbrojeni w długie karabiny z bagnetami. Zatrzymali się przy studni, pili wodę a niektórzy myli się wycierając twarz i ręce w bluzy. Przebywali w naszym domu jeden dzień, żywiąc się tym, co otrzymali od naszych rodziców. Potem poszli w stronę Wisznic. Tymczasem w Wisznicach Żydzi utworzyli

policję i chwyтали powracających z wojny żołnierzy. W pierwszych dniach października na nasz teren wkroczyły oddziały niemieckie. Niemcy zajęli Szkołę Podstawową w Wisznicach i zaczęli dyktować swoje warunki. Należało zdać broń, samochody, motocykle i radia. Kto nie podporządkował się rozkazom mógł być rozstrzelany. Ojciec z bratem zapakowali radio do pudła i zakopali nieopodal domu. Wyznaczono obowiązkowe dostawy żywności dla wojska. Niemcy zajęli lepsze mieszkania a ludność polską wyrzucali na ulicę. Bardziej niż Polaków represjonowali Żydów. W każdym mieście stworzyli dla nich getta. Szkoła, do której zacząłem uczęszczać, mieściła się w drewnianym domu pożydowskim tuż obok getta. Gdy wybiegaliśmy na przerwę, dzieci żydowskie zza płotu prosiły o chleb. Dawaliśmy im swoje kanapki, ale pilnujący getta żydowscy policjanci zabraniali i przeganiali od płotu. Po dwóch latach zlikwidowano getto. Kobiety, starców i dzieci pędzono do obozu koncentracyjnego w Treblince. Kto nie dał rady iść, został zabity na miejscu lub w czasie marszu. Jaką egzekucję podczas przemarszu Żydów widziałem z okna naszego domu. Starsza żydówka zostawała z tyłu kolumny. Podszedł do niej konwojujący żołnierz niemiecki, o coś ją spytał, następnie cofnął się dwa metry do tyłu i strzałem w głowę zabił ją. Ciało pochowano w rowie przy drodze. Młodych Żydów Niemcy rozstrzelali na łące przy rzece. Dopiero po zakończeniu wojny zrobiono ekshumację zabitych i przeniesiono na cmentarz żydowski. Z początkiem roku 1941 nasiliły się represje okupanta wobec ludności polskiej. Hitler przygotowywał się do wojny z Rosją sowiecką, dlatego od chłopów zabierano zboże, mięso i nabiał. Wyznaczono „szarwarki”, by przygotować drogi, lotniska polowe i inne umocnienia wojenne. Młodzież od lat 16 zabierano na przymusowe roboty do Niemiec, tam za darmo musieli pracować w gospodarstwach rolnych.

Jeszcze trudniejsze warunki życiowe miała ludność miejska. Żywność była na kartki i to w małych ilościach. Ksiądz Jan Romanowicz w tym czasie był dyrektorem sierocińca w Warszawie przy ulicy Litewskiej. Ojciec znał warunki życia mieszkańców Warszawy i postanowił pomóc swemu bratu. Potajemnie zabił utuczoną świnię a rąbanek zapakował do waliz, by bezpiecznie przewieźć do Warszawy. W tę podróż zabrał ze sobą mnie, wtedy ośmioletniego chłopca. Pod wieczór wyruszyliśmy furmanką do stacji kolejowej w Białej Podlaskiej. Jeszcze w porze nocnej wsiedliśmy do pociągu osobowego. Ojciec znalazł dla mnie miejsce siedzące, na półce umieścił dwie ciężkie walizki i przykazał mi, bym się do nich nie

przyznawał, gdy ktoś będzie o nie pytał. Powiedział mi: - nie bój się, ja zaraz wrócę -i odszedł do innego przedziału. Pierwszy raz jechałem pociągiem, więc wszystko mnie ciekawiło. Po pewnym czasie usnąłem i obudziłem się dopiero, gdy świtało. Dojeżdżaliśmy do Warszawy. Ojciec stał przy mnie. Zdjął szybko walizki i kazał iść za sobą. Przed Dworcem Wileńskim, na którym zatrzymał się pociąg, wsiedliśmy do konnej dorożki i szybko pojechaliśmy do sierocińca. Ksiądz stryj był uradowany, ale i przestraszony. Cieszył się z tego, że będzie miał żywność dla sierot, ale gdyby Niemcy zrobili kontrolę, Bonifacego czekała śmierć. Z tej podróży pamiętam Stary Rynek w Warszawie i żelazną studnię, z której pompowałem wodę. Katedrę Świętego Jana, gdzie wśród kwiatów stała trumna a na niej kielich z mszałem i mitrą. Stryj oznajmił mi, że zmarł biskup warszawski i wkrótce będzie jego pogrzeb. Pamiętam modlitwy wieczorne chłopców na długim, słabo oświetlonym korytarzu sierocińca. W domu modlitwy odmawialiśmy na klęczkach i były dłuższe, tutaj stało się w szeregu i na głos odmawiało krótki pacierz. Pamiętam, że ojciec kupił mi czarne, ciepłe ubranie, jakiego nie miał żaden z moich wiejskich kolegów.

W czasie okupacji niemieckiej wszyscy mieszkaliśmy razem w Dubicy. Wojna przeszkodziła Marianowi kontynuować naukę w Salezjańskim Gimnazjum w Jaciążku. Pomagał on ojcu w gospodarstwie, chodził na roboty obowiązkowe wyznaczane przez okupanta. Zakładano wtedy linie telefoniczne pomiędzy Włodawą a Białą Podlaską. W wolnych chwilach pisał „Pamiętnik z wojny”. Genia pomagała mamie w pracach domowych. Przędła wełnę, tkala na krosnach i chodziła na „wieczorki” do koleżanek. Janek czytał książki, uczył się i jako ministrant chodził do kościoła. Stasiak, Jadzia i Gucio chodzili do Szkoły Podstawowej w Wisznicach.

Uroczyscie obchodzone były wszystkie święta kościelne. Na odpust parafialny, który przypadał 6 sierpnia, w dniu Przemienienia Pańskiego, rodzice zapraszali krewnych z Romaszek -siostrę Bonifacego i z Przegalin matkę Wiktorii Magdalenę oraz jej siostry. W wigilię Bożego Narodzenia stroiliśmy choinkę. Ojciec wycinał na Horycach (piaszczyste wzgórze nad rzeką Zielawą) młodą sosenkę. Przynosił do domu i obsadzał w stojaku. Genia z Jadzią kleiły z kolorowego papieru łańcuchy. Poza tym wieszano bombki, cukierki i papierowe lalki. Na obrzeżach gałęzi doczepiano małe świeczki. Przy choince każdego wieczoru

śpiewaliśmy kolędy i pastorałki. Na Boże Narodzenie mam piekła pyszne pączki. Takich smacznych pączków później nigdy i nigdzie nie jadłem.

Z okresu okupacji pamiętamy wszyscy nocne dywanowe naloty samolotów niemieckich na Związek Sowiecki. W dzień towarzyszył nam strach przed gestapo a w nocy przed bandami rabusiów, którzy często podszywali się pod partyzantów.

Aż przyszedł lipiec roku 1944. Dowiadaliśmy się z potajemnie słuchanego radia o klęsce Niemców pod Stalingradem, Leningradem i Kurskiem. O tym, że wojska sowieckie razem z polskimi stoją na Bugu. Dochodził do nas huk wystrzałów armatnich. Widzieliśmy nocą łuny na wschodzie i uciekające wojsko niemieckie. Ojciec z Marianem i Jankiem wykopali w ogrodzie schron. Przykryli z wierzchu balami i ziemią. Do tego schronu schodziliśmy na noc. Pewnego ranka zamiast wojsk niemieckich ojciec zobaczył dwóch żołnierzy sowieckich jak szli z „pepeszami” w rękę. Widząc ojca jeden z nich spytał: - Giermańców niet? Niet - odparł ojciec. - Eta charaszo. Dostrzegłszy matkę, która w obawie o męża znalazła się obok, poprosił o jedzenie. - Chadziajka, chleb i mołoko imiejesz? Matka szybko wróciła do schronu po chleb a potem wydoiwszy krowę poczęstowała mlekiem. W tym czasie ze stodoły sąsiada wyskoczył zaspany Niemiec. Zobaczył Rosjan i zaczął, bez karabinu i czapki uciekać w stronę lasu. Rosjanie widząc go nie zareagowali. - Tak my razwiedka. My nie strielajem i do nas nie strielajut - powiedział jeden z nich. Od południa zwarte oddziały wojsk sowieckich szły szosą w kierunku Białej Podlaskiej. Skończył się pięcioletni okres okupacji niemieckiej i zaczął pięćdziesięcioletni okres okupacji sowieckiej.

Kilka dni zajęło wojskom sowieckim przejście od Bugu do Warszawy. Samej Warszawy zdobywać nie chcieli, ponieważ tam, 1 sierpnia 1944 roku wybuchło powstanie. Ludność Warszawy sama chciała oswobodzić swoją stolicę. Liczono na pomoc Rosjan, ale te posunięcia Polaków nie podobały się Stalinowi. Pozwolił Niemcom na zdlawienie powstania, wypędzenie całej ludności i zniszczenie miasta. Zginęło ponad 300 tysięcy mieszkańców, w tym prawie cała warszawska młodzież, która chwyciła za broń. W kwietniu 1945 roku wojska sowieckie podeszły pod Berlin. Od strony Francji i Belgii nacierały wojska amerykańskie i brytyjskie. 8. maja 1945 roku, w zdobytym Berlinie podpisano kapitulację Niemiec i nastąpił kres Drugiej Wojny Światowej. Wraz z powracającym z Niemiec wojskiem sowieckim wieziono

łupy zdobyte na wojnie. Kolumny samochodów wiozły całe fabryki. Na noc zatrzymywali się w naszym domu. Żołnierze sowieccy za wódkę sprzedawali ubrania, tekstylia i skóry, które wieźli jako swoją zdobycz. Któregoś dnia ojciec kupił od żołnierzy ciepłą czapkę wojskową. Następnego dnia idąc do szkoły włożyłem tę czapkę. Poranek był mroźny, więc opuściłem nauszники i zawiązałem pod szyją. Już obok szkoły zainteresowało się moją czapką dwóch młodych, ubranych w czarne, skórzane płaszcze panów. Nie odpowiedziałem na ich pytania, tylko pobiegłem do szkoły. Podczas pierwszej lekcji przyszli ci panowie do klasy wraz z kierownikiem szkoły. Kazali dzieciom wyłożyć czapki na ławkę. Przypuszczałem, że chodzi o moją czapkę i na ławkę wyłożyłem szalik. Sprawdzający tajniak (była to tajna policja Urzędu Bezpieczeństwa) zajrzał pod moją ławkę i wyciągnął ukryta tam czapkę. Coś krzyczał, uderzył mnie mocno w policzek a czapkę zabrał. Takie było moje pierwsze spotkanie z komunistyczną władzą.

Historia pewnego powołania

Kończył się upalny czerwcowy dzień. Lipową aleją w stronę dworu biegł młody chłopiec. Od kilku już lat podczas wakacyjnych miesięcy wypożyczał z biblioteki dworskiej polskie książki. W wiejskiej, czteroklasowej szkole nauczył się czytać po rosyjsku, trochę rachować, a na lekcjach religii, prowadzonych przez miejscowego popa poszanowania dla „Cara Wszech Rosji i Prześwientej Religii Prawosławnej”. Języka polskiego uczyła go matka i córka dziedzica dubickiego. Biegł teraz by wymienić świeżo przeczytaną książkę. W chłodnej sieni dworskiej poprosił napotkaną służącą o widzenie się z panią. Wiele razy tu bywał, ale zawsze z zaciekawieniem przyglądał się wystrojowi dworu. Pierwszy raz przekroczył jego próg jako kilkuletni chłopczyk trzymając się kurczowo ręki ojca; wszystko tu było inne niż w jego wiejskim domu. Po chwili otworzyły się drzwi i w progu biblioteki stanęła młoda dziedzicówna. Poprosiła chłopca do środka i trochę zdziwiona, że tak szybko przeczytał książkę spytała: Janku, co zapamiętałeś z tej książki? Janek zaczął mówić i okazało się, że nie opowiada, ale recytuje z pamięci słowo po słowie. Pasąc krowy, z takim szacunkiem czytał polskie książki, że uczył się ich na pamięć. Dziedzicówna wymieniła książkę tłumacząc, że nie musi uczyć się na pamięć, wystarczy tylko zapamiętać treść i opowiedzieć swoimi słowami. To spotkanie z Jankiem nie dało jej spokoju. Przypomniała sobie jak przed rokiem przyszła do dworu matka Janka i pytała, czy syn mógłby pobierać naukę we dworze. Wiedziała, że dzieci wiejskie niechętnie chodzą do szkółki ruskiej. Niestety innej szkoły nie było - mieszkali pod zaborem rosyjskim i namiestnik carski dbał o to, by ludność polską rusyfikowano. Najtrudniej było dzieciom na lekcjach religii - pop uczył czegoś innego niż ich rodzice. Często bywało tak, że chłopcy uciekali z lekcji przez okno, mimo, że potem dostawali po kilka nahałek od kozaka. W takich ucieczkach przodował właśnie Janek i jego młodszy brat Bonifacy. Obaj chłopcy byli dobrze zbudowani, ale starszy to już prawie mężczyzna - myślała o nim panna dziedzicówna i zastanawiała się czy darzy go miłością, czy tylko sympatią. W każdym razie chciała mu

pomóc. Podczas kolacji nadarzyła się okazja by porozmawiać z ojcem - tatuściu - rzekła prosząco znasz starszego syna Zachariaszów. Jest on bardzo zdolnym chłopcem, możemy mu pomóc i posłać do szkół. - Ależ córeczko - odrzekł z godnością ojciec to są biedni ludzie i nie stać ich na kształcenie syna. Wiesz ile pieniędzy wydajemy na opłacenie studiów twojego stryja.

Polska pod zaborami nie miała suwerennych szkół. Żaden z zaborców nie dbał o wykształcenie polaków. Zamożna młodzież wyjeżdżała na studia do Francji czy Włoch. Za granicą studiował młodszy brat dziedzica. Długo jeszcze radzono jak pomóc zdolnemu chłopcu. Dziedzic obiecał, że porozmawia z Zachariaszem, a panienska postanowiła napisać list do studiującego we Włoszech stryja. Po kilku dniach dziedzic Dubicki poprosił Zachariasza na rozmowę. Rodzice Janka nie byli zorientowani, o co chodzi. Janek też był ciekawy, dlaczego dziedzic chce rozmawiać z jego ojcem. Myślał, że chodzi tu o jakąś nagane. Takie wezwanie do dworu nic dobrego nie wróżył. Rodzice wypytywali chłopca, czy pasąc krowy nie wypasał łąki dworskiej. Mogło się zdarzyć, gdyż pasł nie tylko własne krowy ale również innych gospodarzy z wioski. Bywało tak, że czytając książki nie dopilnował i któraś z krów odłączyła się od stada i trzeba było przez kilka godzin szukać jej po lesie. W oznaczonym dniu Zachariasz pełen obaw poszedł do dworu. Dziedzic serdecznie uścisnął jego dłoń i tak rozpoczął rozmowę: Zachariaszu, macie zdolnego syna i trzeba go posłać do szkół. Wiem że kształcenie drogo kosztuje, ale ja wam pomogę. Trzeba opłacić książki i stancję. Mam na myśli szkoły w Warszawie, Wilnie czy Petersburgu. Panie dziedzicu - zaczął nieśmiało Zachariasz. Do ruskich szkół to go nikt nawet na postronku nie zaciągnie, ale kształcić to bym chciał. Po powrocie ojciec opowiedział zaciekawionym domownikom o sprawie. Matka w skrytości myślała, że jak się wyuczy może księdzem zostanie. Ona właśnie w wiosce spełniała rolę kapłana. Chrzcila dzieci i prowadziła modlitwy przy zmarłych. Należała do II Zakonu Św. Franciszka i była opiekunką grupy kobiet z Żywego Różańca. Ona pierwsza wiedziała o

przyjeździe katolickiego księdza i w wielkiej konspiracji informowała zaufane rodziny, gdzie i kiedy mogą uczestniczyć we mszy świętej. Nie zdarzało się to częściej, niż raz na pół roku. Janek pamięta jedną z takich wypraw. Wyszli z domu nim zapadł zmrok i wzięli ze sobą ciepłe chusty by okryć dzieci. Kilka kilometrów od wioski w ciemnym lesie zebrała się spora gromadka ludzi. Mężczyźni stali na czatach, by nie dopuścić do jakiegóż prowokacji czy zdrady. Kilka świec oświetlało połowy ołtarz i wysoki brzozywy krzyż. Mama wskazała Jankowi postać zakonnika słuchającego spowiedzi. Potem odbywały się chrzty, śluby i na końcu odprawiana była msza święta. Wracali do domu gdy już świtało. Janek był zadowolony z tego, że jego osobą zajmuje się sam dziedzic. Jeszcze bardziej łgnął do nauki. Rodzeństwo Janka - starsza siostra Marysia i młodszy brat Bonifacy podkpiwali trochę z naukowca, a życie toczyło się dalej.

Brat dziedzica studiował we Włoszech, niewiele jednak czasu poświęcał nauce, lubił towarzystwo, rozrywkę i wiele podróżował. Za swoją część majątku dostawał od brata pieniądze i mógł beztrąsko korzystać z życia. Otrzymał list od bratanicy przeczytał uważnie i nie miał zamiaru zajmować się jakimś wiejskim chłopcem, o którym mu pisała. Napiszę w liście - pomyślał - żeby się uczył na miejscu, a jak wrócę poświęcę się trochę czasu. Życie jednak napisało inny scenariusz. Z kilkoma kolegami wybrał się na jesienną wycieczkę w Alpy. Nocleg zaplanowali w małym miasteczku Ivrea u podnóża gór. W hoteliku nie było wolnych miejsc, więc zatrzymali się w domu zakonnym Zgromadzenia Księży Salezjanów. Po uzgodnieniu ceny i spożyciu wieczerzy zostali zaproszeni przez przełożonego klasztoru na krótką pogawędkę. Ponieważ Włosi są ludźmi towarzyskimi, pogawędka przeciągnęła się do późnej nocy. Przełożony opowiadał Zgromadzeniu założonym przez Jana Bosko księdza z Turynu. - Celem zgromadzenia - mówi - jest wychowanie biednej młodzieży męskiej. Właśnie w tym domu mamy szkołę i internat dla chłopców z kilku państw europejskich. - Czy mógłby się tu uczyć zdolny młodzieniec z dalekiej Polski? - zapytał brat dziedzica.

- Niech napisze do nas- odpowiedział przełożony - a my rozpatrzemy podanie i damy odpowiedź. Mamy tu kilku młodzieńców mówiących po polsku. Wydajemy też biuletyn zgromadzenia tłumaczony na język polski.

Późną jesienią przyszedł do dworu list z Włoch. Panienci jeszcze w domu nie było. Przyjechała ze szkół dopiero przed samym Bożym Narodzeniem. Janek czekał na okazję by się z nią spotkać. Przygotował snop z różnego zboża, pszenicy, żyta, jęczmienia oraz owsa i przystroił go jedliną. Taki snop wedle zwyczaju stawiano w rogu pokoju, w którym stała choinka i w którym spożywano wieczerzę wigilijną. Snop wrzucił na sanki i przywiózł do dworu. Dziedzicówna ucieszyła się na widok Janka, przeczytała mu list od stryja i dała biuletyn Wiadomości Salezjańskie. Zaraz po świętach pomogła Jankowi napisać list do Salezjanów w Ivrei, poczym nastąpiły długie dni oczekiwania na odpowiedź. Janek po nocach marzył o dalekich krajach, a w dzień czytał dużo książek i pomagał ojcu w pracach domowych. Pracy nie było wiele, ale wszystko wykonywali ręcznie bo nie mieli żadnych maszyn rolniczych. Wreszcie przyszedł długo oczekiwany list, odpowiedź była pozytywna. Zapadła decyzja, że latem tego roku Janek pojedzie do Włoch. Zaczęły się przygotowania, matka przędła len i wełnę, potem na krosnach tkła płótno na bieliznę i materiał na ubrania. Niekiedy w skrytości płakała na myśl o rozstaniu z synem. Ojciec przeznaczył młodą krowę na sprzedaż, by za te pieniądze kupić bilet kolejowy. Janek częściej chodził do dworu i uczył się matematyki, języka polskiego i geografii. Czas biegł szybko i zbliżał się dzień odjazdu. Ojciec zrobił drewniany kufer, do którego mama zapakowała wyprawę, a z utuczonej świni przygotowano wędzonkę na podróż. Już wcześniej Janek namówił kolegę, by razem z nim udał się na studia do Włoch. Obaj chłopcy przedarli się przez zieloną granicę do Krakowa gdzie zaopiekowali się nimi Salezjanie i pomogli kupić bilety kolejowe. Pociąg ruszył chłopcy zajęli miejsca przy oknie i z zacięciem obserwowali zmieniające się krajobrazy. Tereny polskie były podobne do ich rodzinnej wioski, a w mijanych miasteczkach podziwiali wysokie, murowane domy. Gdy byli

głodni sięgali po jedzenie zawinięte w lniany obrus, kroili scyzorykiem chleb i wędzonkę. Podczas postoju na większych stacjach wyskakiwali z pociągu, pompowali wodę do picia. Kiedy posnęli zmęczeni długą podróżą, nagle obudził ich trzask łamanych ścian wagonu. Okazało się, że doczepiona z tyłu lokomotywa, tak silnie pchała, że zgniotła wagon, w którym jechali chłopcy. Dalszą podróż odbyli w wagonie francuskim, w którym podróżowały dwie kobiety. Rano kobiety przygotowały sobie śniadanie, co uświadomiło chłopcom, że ich żywność została w poprzednim wagonie, głód dokuczał coraz bardziej. W porze obiadowej panie zorientowały się, że młodzi nie mają jedzenia i poczęstowały ich bułeczkami z żółtym serem. Bułeczki były smaczne, ale takiego sera chłopcy nigdy nie widzieli, miał brzydki zapach i dziwny smak. Ale byli głodni więc wszystko zjedli. Potem zaczęli szukać ubikacji, w polskim wagonie wchodziło się do niej bezpośrednio z przedziału, tutaj było wyjście tylko na korytarz. Długo szukali ale bez skutku. Gdy zaistniała sytuacja krytyczna pociąg zatrzymał się na małej stacyjce, chłopcy wyskoczyli by poszukać ustronnego miejsca poza peronem. Niestety pociąg stał krótko, Jankowi udało się wskoczyć do wagonu, kolega został na peronie. Janek zaczął płakać i krzyczeć z rozpacz, podróżni wyszli na korytarz, wybiegły też znajome panie, które zorientowały się, że nie ma drugiego młodzieńca. Zawiadomiły konduktora, który po długich namowach pociągnął za hamulec. Po kilku godzinach dojechali do Turynu gdzie czekali na nich Salezjanie, zabierając młodzieńców do szkoły w Ivrei. Szybka zmiana otoczenia oszołomiła Janka- kilka dni temu znajdował się w śród swoich najbliższych w dalekiej wiosce na Podlasiu, nagle znalazł się w innym świecie. Obowiązkowym językiem w szkole był język Włoski, posługiwali się nim wychowawcy i wszyscy uczniowie. Janek musiał nauczyć się ich języka, a że był zdolny po kilku tygodniach spokojnie się porozumiewał. Gorzej było z przystosowaniem się do włoskich zwyczajów. Na śniadanie wychowankowie dostawali tylko suchą bułkę i zimną wodę czerpaną ze studni, w niedzielę dostawali dodatkowo po pół jajka gotowanego na twardo. Gdy pewnej niedzieli Janek w raz z dwoma kolegami poszedł do

kucharza i poprosił o dokładkę- dostał jedno jajko i odpowiedź kucharza: macie i udławcie się. To ich bardzo rozbawiło, bo zjedli by jeszcze pięć jajek i nie udławiłby się. W gronie 17 kolegów czas wesoło i szybko mijał, każdy dzień był wypełniony nauką i innymi zajęciami: o szóstej rano była pobudka poranna toaleta msza św. , śniadanie i zajęcia lekcyjne, obiad i odrabianie lekcji do późnego wieczora .

Ivrea w tym czasie było małym ale bardzo pięknym miasteczkiem , położonym w północnych Włoszech u podnóża Alp. Górski klimat, zdrowe i świeże powietrze, wspaniałe trasy wycieczkowe- czy można w takich warunkach długo tęsknić za rodziną?. Przez pierwsze dwa tygodnie Janek budził się w nocy i płakał, ale gdy włączył się w wir nauki i pracy, o domu myślał coraz mniej. Listy do domu pisał często, ale odpowiedź otrzymywał bardzo rzadko, a wybuch I wojny światowej urwał kontakt całkowicie. Po kilkuletnim pobycie Janek postanowił wstąpić do Zgromadzenia Salezjanów. W czerwcu 1909 roku złożył podanie o przyjęcie do nowicjatu, jest to okres próbny przed wstąpieniem do zakonu. Życie w nowicjacie było surowe, a przełożenia bacznie obserwowali kandydatów. Do ich codziennych obowiązków oprócz modlitw należało czytanie ksiąg ascetycznych i uczenie się Pisma Świętego.

29 września 1910 roku Janek ukończył nowicjat, złożył śluby zakonne i z rąk księdza Michała Rua otrzymał sutannę. Zaraz potem dostał list posłuszeństwa kierujący go na studia filozoficzne do Turynu. Do zakonu przyjął go sam ksiądz Bosko.

Podczas wakacji nie mógł jechać do domu, było za daleko i za drogo, korzystał z zaproszeń kolegów , odwiedzając Lublanę i Monachium i wiele miejscowości we Włoszech. Pewnego razu jeden z kleryków zaprosił Janka na odpust do swojej parafii, nie mieli pieniędzy więc odległość 50 km . postanowili przejść pieszo. Chcąc skrócić drogę zabłądzili w odludnym miejscu, gdzie zastała ich noc, głodnych, zmęczonych i spragnionych. Nagle przy drodze zauważyli wysoki płot a za nim sad brzoskwiniowy, w którym postanowili przeczekać do rana oraz zaspokoić głód i pragnienie. Radość nie trwała długo, usłyszeli ujadanie psów, które

zaczęły targać ich za sutanny. Na pomoc młodzieńcom przybiegło dwóch uzbrojonych mężczyzn, którzy zaprowadzili ich do właściciela posesji. Gospodarz ugościł kleryków sutą kolacją i zaproponował nocleg. Tam po raz pierwszy zetknęli się z elektrycznością, co wzbudziło w nich ogromne zainteresowanie. Rano pożegnali swego dobrodzieja i ruszyli w dalszą drogę. Po ukończeniu studiów filozoficznych Janek przez trzy lata odbywał praktykę asystencką, do jego obowiązków należało stałe przebywanie wśród młodzieży. Pewnego dnia z wychowankami wybrał się na wycieczkę na drugą stronę rzeki Po, którą należało pokonać promem. Z pośród podróżnych wyróżniała się pięknie ubrana kobieta, która fotografowała biegnących chłopców, a obok niej dwójka rozbrykanych, kilkuletnich dzieci i niski mężczyzna. Przewoźnik podszedł do fotografującej kobiety i w ostrych słowach skarcił ją za brak opieki nad dziećmi. Mężczyzna stojący obok kobiety skarcił przewoźnika słowami- człowieku jak zwracasz się do królowe, chcesz przez resztę życia gnić w więzieni. Przerażony przewoźnik padł na kolana, jak się później okazało był to król Emanuel III, a kobieta - to była królowa, która nawiązała rozmowę ze zdziwionym Jankiem.

Jesienią 1914 roku Janek rozpoczął studia teologiczne na Uniwersytecie w Mediolanie. Po pierwszym roku teologii zapisał się dodatkowo na wydział Filologii Romańskiej. Mieszkał w domu salezjański, w internacie uczniów szkół rzemieślniczych gdzie miał w obowiązkach opiekę nad chłopcami i pomoc w odrabianiu lekcji. Po czwartym roku studiów Janek poprosił swoich przełożonych o dwumiesięczny urlop na wyjazd do Polski. Minęło już dziesięć lat, kiedy wyjechał z kraju- niestety pozwolenia nie otrzymał. Niejednokrotnie młody asystent miał problemy z młodzieżą, jednak przełożenia prawie zawsze trzymali stronę chłopców zwracając mu uwagę. Pewnego wieczoru Janek nie pozwolił dwóm wychowankom wyjść na miasto gdyż zabraniał tego regulamin. Zaprowadził chłopców pod drzwi przełożonego i bardzo się rozczarował, kiedy zamiast skarcić chłopców przełożony złajał Janka. Po tym zdarzeniu postanowił, że po święceniach kapłańskich wróci do Polski. 27 czerwca 1920 roku

w Katedrze Mediolańskiej Janek otrzymał święcenia kapłańskie. Nikt z rodziny nie uczestniczył w tej uroczystości. Kolejny raz nie otrzymał pozwolenia na wyjazd do kraju, chociaż tak bardzo prosił.

Pod koniec lutego 1921 roku przyszedł telegram z Polski. Matka pisała, że ojciec Zachariasz jest bardzo chory i chce zobaczyć się z synem. Udał się do przełożonego domu i stanowczo oznajmił, że wraca do kraju. Otrzymał pozwolenie na wyjazd i pieniądze na podróż i już następnego dnia Janek siedział w pociągu, który jechał w stronę Polski. Warszawa powitała go mroźną choć słoneczną pogodą, skąd udał się w kierunku Białej Podlaskiej. Popołudniową porą dotarł do Dubicy, gdzie na przystanku czekał na niego brat Bonifacy. W domu, Janka serdecznie witała matka i schorowany ojciec, który przywitał go słowami; - dobrze żeś przyjechał Janku, usiądź tu i wyspowiadaj mnie. Zaskoczony tym sny trochę się wzbraniał, ale widząc błagalne spojrzenie ojca wyjął z podróźnej torby fioletową stulę i usiadł u wezglowia. Spowiedź trwała długo, poczym ksiądz Jan ukląkł przy łóżku modlił się. Ksiądz wstał z klęczek i wezwał domowników, pierwszy wszedł Bonifacy, który widząc umierającego ojca zawołał - tato nie odchodź- , chory popatrzył na klęczących przy łóżku i usnął. Pogrzeb odbył się na cmentarzu parafialnym w Wisznicach. Pierwsze dni ksiądz Jan mieszkał u swojej matki, skąd codziennie rano udawała się do kościoła, odwiedzał liczną rodzinę i kolegów szkolnych, kobiety zazdrościły Annie takiego syna. Dziedzica Dubickiego już nie było, majątek sprzedał wieśniakom i wraz z córką wyjechał, a dwór został rozebrany i sprzedany.

Diecezja Podlaska z siedzibą w Siedlcach zaproponowała księdzu Janowi objęcie probostwa w Polubiczach, wsi oddalonej o pięć kilometrów od Wisznic. Ksiądz zgodził się na pracę tymczasową, dopóki nie ureguluje stałego pobytu w kraju. Do Włoch wracać nie chciał, a Salezjanie w Polsce nie mogli go przyjąć bez zgody przełożonych z Mediolanu. Będąc w Polubiczach ksiądz Jan zainteresował się pochodzeniem swojej rodziny, pamiętał jak ojciec

opowiadał, że pochodzą od znanego rodu z Halicza. W księgach parafialnych odnalazł swego dziadka Onufrego, urodzonego na początku XIX wieku, którego syn Klemens, który zmarł w 1868 roku, był ojcem Zachariasza /1957-1921/. Gdyby nie Bonifacy- zartował nieraz ksiądz Jan- ród na mnie by się zakończył. Tymczasem Bonifacy zapoznał pannę Wiktorię Petruczynikówną i w czerwcu 1921 roku ksiądz Jan pobłogosławił ich związek małżeński w kościele parafialnym w Wisznicach.

Z Włoch przychodziły ponaglenia o powrót księdza Jana do Mediolanu, jednak Biskup Siedlecki chciał wykształconego kapłana u siebie w Kurii Biskupiej. Udał się do przełożonego Salezjanów w Kielcach, prosząc o pozwolenie na pozostanie w Polsce. Argument i spora ofiara w czerwiecach na rozbudowę domu przekonali przełożonego. Jesienią 1922 roku ksiądz Jan podjął pracę jako prefekt w Domu Salezjańskim w Kielcach, gdzie zajmował się finansami. Podczas pobytu w Kielcach minęła trzecia rocznica święceń i trzeba było przystąpić do egzaminu kapłańskiego, który zakończył się wynikiem celującym.

Pierwszą samodzielną placówką księdza był Łąd nad Wartą, gdzie latem 1924 roku, w starym zdewastowanym klasztorze objął funkcję dyrektora zakładu salezjańskiego. Nowy dyrektor podjął się pionierskiego zadania- uruchomienia elektrowni. W tym celu przy budynkach gospodarczych wybudowano pawilon, w którym zainstalowano turbinę prądotwórczą na prąd stał. Warunki życia w zakładzie były trudne, brak opału sprawiał, że w zimie pokój księdza był nieogrzewany.

Następną placówką księdza Jana było Wilno, gdzie został rektorem kościoła Św. Jana i kapelanem siostr zakonnych. Do pomocy miał jeszcze trzech księży. W klasztorze była odprawiana poranna msza św., podczas podniesienia ksiądz uniósł wysoko ręce, wskutek czego między krótkimi skarpetkami, arakiem sutanny ukazał się pasek nieokrytych nóg. Zauważyła to siostra przełożona i skarciła księdza, że gorszy siostry zakonne. Innym razem zarzuciła mu,

że za szybko odmawia modlitwy. Wtedy ksiądz Jan odciął się z humorem pytając- jaka jest różnica, gdy powiem szybko , albo wolno "głupia baba"? Sens jest ten sam.

Po trzyletnim pobycie w Wilnie przełożeni , przenieśli księdza Jana do pracy jako sekretarza Nuncjusza Papieskiego w Warszawie. Praca ta dała mu wiele zadowolenia, poznał nowych znajomych i zaprzyjaźnił się z Nuncjuszem. Co pewien czas księża diecezjalni otrzymywali godności kanonika albo prałata. Po takich ceremoniach ksiądz Jan spytał żartem Nuncjusza - jakie ja dostane odznaczenie?- a co byś chciał Jasiu ?- spytał Nuncjusz- przynajmniej czerwone guziki -odpowiedział z uśmiechem ksiądz Jan. Jasiu, pozwalam ci przyszyć czerwone guziki.... do kalesonów, zażartował Nuncjusz. W tym czasie Ksiądz Jan został zaproszony do uczestnictwa w Radzie do Spraw Młodzieży przy Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, gdzie poznał Janusza Korczaka. Mimo różnicy wyznania, łączyła ich troska o dobro młodzieży. Działalność w Radzie oraz piastowane stanowiska spowodowały, że Ksiądz Jan zaczął bywać w najlepszych towarzystwach warszawskich. Bawił gości swoją olbrzymią wiedzą i godzinami mógł mówić na temat malarstwa , czy muzyki, pięknie grał na fortepianie i śpiewał pieśni włoskie dumki rosyjskie. Poprawnie posługiwał się wieloma językami europejskimi, często pełnił rolę tłumacza, a że tryskał humorem wszędzie był mile widziany.

Pod koniec lat trzydziestych został dyrektorem Zakładu Salezjańskiego w Lutomiersku , gdzie zastała go II wojna światowa. Na czas wojny, która według opinii miała trwać krótko, dzieci i wychowawcy mieli udać się do swoich rodzin. Ksiądz udał się do swego przełożonego w Warszawie , gdzie aresztowany przez Niemców, został przewieziony do tymczasowego obozu w Krośnie na Podkarpaciu, lecz on nie miał zamiaru do końca wojny przebywać w obozie. Zaplanował z kolegami ucieczkę i na początku grudnia udało mu się zbiec i wrócić do domu. Po powrocie zamieszkał na plebani w Wisznicach u księdza kanonika Bronisława Jurskiego. Upewniwszy się, że nikt go nie szuka , wyrobił sobie nowe dokumenty i

wrócił do Warszawy, gdzie został dyrektorem sierocińca przy ulicy Litewskiej. Odwiedzał swoich znajomych oraz instytucje charytatywne, prosząc o wsparcie dla dzieci. Pewnego wieczoru tuż przed godziną policyjna wychodził od swoich znajomych, śpiesząc się do domu. Był bardzo zmartwiony, bo zabrakło pieniędzy na zakup opału, a zima była siarczystą. Z sąsiednimi drzwiami słyhać było głośne rozmowy. Zastanowił się chwile i powiedział:
- Jest tam chyba dużo ludzi, wejdę i poproszę o wsparcie. - Księżę dyrektorze - odrzekła znajoma - tam lepiej nie wchodzić, oni często piją wódkę - Jak mają na wódkę, to może będą mieli dla moich chłopców - odrzekł kapłan i zapukał. Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku, widząc nieznanego spytała - a do kogo? - proszę o wsparcie dla biednych dzieci - powiedział ksiądz Jan. Kobieta nic nie odpowiedziała tylko cofnęła się do wnętrza. Ksiądz wszedł za nią do mrocznego korytarza i zamierzał wejść do pokoju, gdzie przy suto zastawionym stole siedziało kilka osób. Droge mu zagroził barczysty mężczyzna krzyżąc: - nie potrzebuję tu żebraków - i uderzył go w policzek. Ksiądz zasłonił się ręką, by nie dostać następnego ciosu, wtedy mężczyzna zauważył, że ma do czynienia z kapłanem. - to dla mnie - powiedział ksiądz Jan, - a co dla moich sierot?. Po dziesięciu minutach wychodził obdarowany pieniędzmi i żywnością. - Może ksiądz na nas liczy - odpowiedziała na pożegnanie kobieta. Kilka razy żywność ze wsi przywoził brat Bonifacy. Pomimo, iż było to zabronione i groziło więzieniem lub śmiercią, walizki z rąbanką kładł w wagonie na pulkę, do pilnowania brał młodszego syna, a sam siadał w drugiej części wagonu. Gdyby przyszła kontrola walizki miały być niczyje, natomiast gdyby złodziej chciał je skraść, trzeba było krzykiem wołać ojca. Na dworcu wileńskim w Warszawie czekali starsi wychowankowie sierocińca i pomagali przetransportować żywność do domu.

W styczniu 1942 roku na ulicy Litewskiej z rąk partyzantów zginęło dwóch żołnierzy niemieckich. Za karę mieszkańcy tej ulicy musieli w ciągu 24 godzin opuścić swoje domy. Następnego dnia oddział wojska sprawdzał, czy polecenie zostało wykonane.

W sierocińcu zastali wszystkich mieszkańców, przez co ksiądz Jan został aresztowany i przesłuchiwany w budynku gestapo. Przesłuchujący go młody Niemiec, krzycząc zwymyślał, nazywając go polską świnia, zbuntowanym klechą i groził, że go zastrzeli. Gdy tłumacz asystujący gestapowcowi powtórzył po polsku, ksiądz Jan odpowiedział spokojnie w języku niemieckim. - Do tej pory spotykałem Niemców, którzy mieli wysoką kulturę osobistą, teraz po spotkaniu z panem muszę zmienić zdanie. Moi wychowankowie nie mają ciepłych ubrań, są sierotami i nie mają gdzie pójść. Proszę im dać ciepłe ubranie i wskazać miejsce gdzie mamy się udać, wtedy rozkaz wykonam. Jest nam wszystko jedno, czy zginiemy od kuli, czy od zimna. - Niemiec był zaskoczony, że ksiądz zna dobrze język, wyprosił tłumacza i kazał księdzu usiąść. Dalsza rozmowa toczyła się spokojnie. Ustalono w jaki sposób sierociniec będzie ewakuowany. Następnego dnia pod sierociniec podjechało dwa samochody ciężarowe, wyprowadzono chłopców otulonych kocami i wywieziono wraz z personelem do klasztoru pod Warszawą. Od stycznia 1942 roku wraz z mieszkańcami sierocińca przebywał w klasztorze, dzięki czemu uniknął aresztowania, gdyż jego współbracia zostali wywiezieni do Oświęcimia. Po wyzwoleniu jako jeden z pierwszych wrócił do Warszawy, jednak z powodu ogromnych zniszczeń nie mógł założyć tu sierocińca, otrzymawszy pomoc od Stanów Zjednoczonych Ameryki dom taki założył w Supraślu koło Białegostoku.

Jesienią 1945 roku przełożeni polecieli mu utworzenie Niższego Seminarium Duchownego w Łądzie nad Wartą. Obok klasztoru był pałac dworski, w którym stacjonowało wojsko polskie. Pewnego dnia do księdza przyszedł komendant i poprosił o umieszczenie kilkudziesięciu żołnierzy w klasztorze, na co ksiądz Jan wyraził zgodę. Zadowolony komendant zaprosił księdza do odwiedzenia wojska. Spotkanie odbyło się w przyjaznej atmosferze, były długie rozmowy, komendant przygotował poczęstunek. Ksiądz Jan zasiadł przy stojącym tam pianinie i zaczął grać dumki rosyjskie. Na pożegnanie komendant ofiarował do klasztoru, ten zdobyczny na wojnie fortepian.

Z Dubicy przysłała wiadomość o ciężkim stanie zdrowia mamy. Ksiądz Jan niezwłocznie udał się do domu, zaopatrzył mamę w Sakrament Chorych, udzielił Komunii Św., sprawiając matce ogromną radość. Dwa dni po jego wyjeździe mama zmarła.

Jesienią 1947 roku ksiądz Jan wrócił do Warszawy, gdzie zajął się organizowaniem instytucji kościelnych. Nie wiedział, że jest śledzony przez Urząd Bezpieczeństwa. Pewnego dnia na lekcji chcąc rozweselić młodzież opowiadał, jakich to mieliśmy na przestrzeni wieków „Bolesławów” - Chrobrego, Śmiałego, Pobożnego - wymieniał - a teraz mamy posłusznego, - miał na myśli Bieruta. Nim wrócił do domu dowiedział się, że szukają go pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa. Domyślał się, że chcą go aresztować, więc nie namyślając się długo wsiadł w pociąg i pojechał na zachodnie ziemie odzyskane. W Dębnie Lubuskim proboszczem był jego kolega, salezjanin ksiądz Stefan Blezień. Tam pod zmienionym nazwiskiem przetrwał czas poszukiwania pomagając w pracach duszpasterskich.

Od początku 1948 roku ksiądz Jan obsługiwał parafie w Różańsku i codziennie dojeżdżała pociągiem do Dębna Lubuskiego, gdzie odprawiał Mszę św. i uczył religii. Plebania, w której zamieszkał ksiądz była przedtem miejscem kwaterunku wojsk radzieckich, przez co pozostała zniszczona i ograbiona. Kiedy ksiądz wyraził zgodę zamieszkania w Różańsku, parafianie przynieśli meble, drzewo na opał, a jedna z mieszkanek zobowiązała się przyrządzać posiłki. Urządził ksiądz Jan kancelarię, jadalnię i pokój sypialny, pozostałe były puste. Pewnego wieczoru, gdy siedział w kancelarii i przygotowywał kazanie na niedzielę, usłyszał, że po schodach ktoś chodzi. Niebezpiecznie było w tych stronach zaraz po wojnie, często grasowali szabrownicy z polski centralnej, czasem słyszało się o partyzantce niemieckiej, która nękała przyjezdną ludność. Pełen obaw wyszedł na korytarz i zobaczył mężczyznę w stroju pastora schodzącego po schodach. Nogi się pod nim ugięły, ale postanowił nie uciekać tylko spytał, czego ten chce. Stali tak naprzeciw siebie w odległości sześciu metrów i w pewnej chwili tamten mężczyzna zniknął. Ksiądz się przeląkł, do rana nie zmrużył oczu. Rano opowiedział

ludziom zdarzenie i wtedy dowiedział się, że kiedy Rosjanie wkroczyli na teren plebani, zastrzelili ówczesnego pastora i pogrzebali w ogródku tuż przy budynku. Ksiądz Jan odprawił Mszę św. Za pastora i zjawa więcej się nie pokazała.

Na początku lat pięćdziesiątych władze komunistyczne wzmogły prześladowanie duchowieństwa katolickiego. Wytaczano bezpodstawne procesy sądowe, nekano podatkami, chciano rozbić jedność i zależność od hierarchii kościelnej. W tym czasie namawiano do wstąpienia do tzw. „związku księży patriotów”. Nie było wielu chętnych, więc na siłę zwożono księży na zebrania. Pod jakimś pretekstem udało się na takie zebranie zabrać księdza Jana. Gdy zorientował się o co chodzi agentom UB, chciał opuścić salę, ale w drzwiach zagrodzono mu drogę. Usiadł więc na końcu sali i na głos zaczął odmawiać brewiarz, na co zwrócono mu uwagę. Odpowiedział im, że znalazł się tu przez pomyłkę, a ponieważ nie chce tracić czasu, odmawia brewiarz. W końcu wyproszono go z sali.

Jesienią 1951 roku do pomocy księdzu, przydzielono mu najmłodszego syna Bonifacego, który był po nowicjacie i miał odbyć praktyki asystenckie. Pomagał przy kościele, w nauczaniu religii, grał na organach i pomagał w różnych pracach na plebanii. Każdego wieczoru wraz ze stryjem chodzili na długie spacery, odmawiali wspólnie różaniec, a potem ksiądz Jan opowiadał ciekawe historie ze swego życia.

Pewnego razu ksiądz Jan wybrał się do fryzjera w Myśliborzu, gdzie w zakładzie zastał tylko fryzjerki. - Chciałem się ogolić, czy nie ma tutaj fryzjera? - zapytał. - Proszę siadać my księdza ogolimy - powiedziała jedna z nich. - Jak dotąd żadna kobieta mnie za nos nie wodziła - zażartował ksiądz Jan. Obrażone fryzjerki nie chciały golić, a w miejscowej gazecie ukazał się artykuł o zacofanym księdzu z Różańska. Kilkuletni pobyt w Różańsku był nagrodą za trudne lata w Domach Salezjańskich. Różańsko było spokojną osadą położoną w śród lasów i jezior. Ludność z wielkim szacunkiem odnosiła się do swojego proboszcza, zawsze zapraszała na uroczystości rodzinne, nazywając go często „Ojczyńka”. Gospościa miała pełną

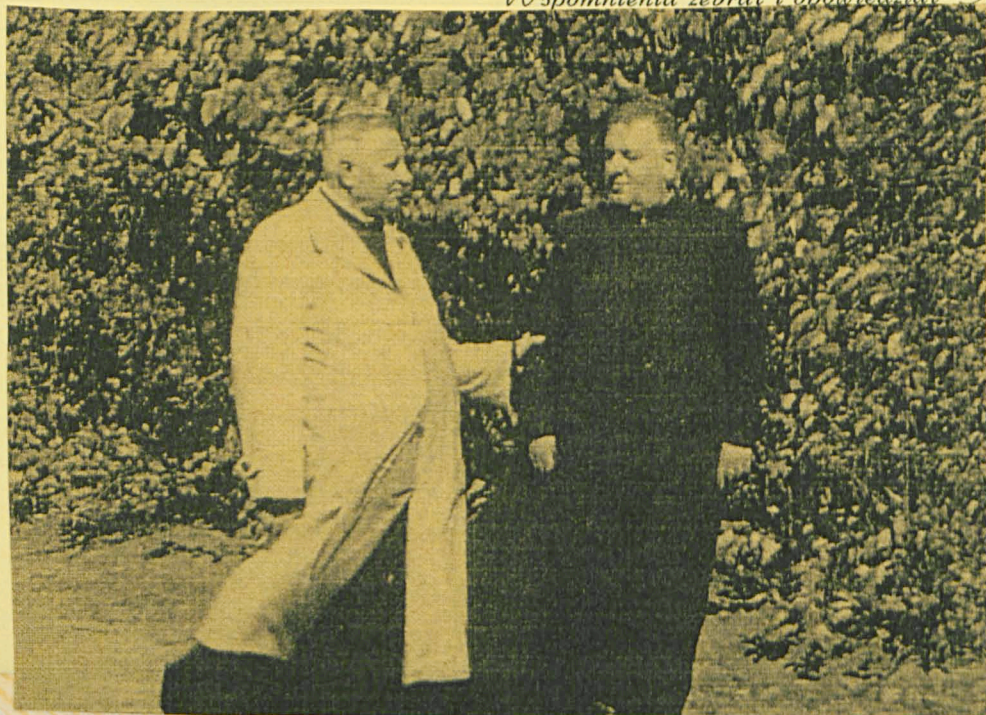
spizarnie, bo każdy chętnie dzielił się owocami swojej pracy. Żywność ksiądz przysyłał do Salezjańskich Domów Formacyjnych, a pieniędzmi zasilal skromną kasę księdza inspektora.

W połowie lat pięćdziesiątych przeniesiono księdza Jana do pracy w Białogardzie, gdzie został kapelanem Sióstr Albertynek i domu specjalnej troski, który te siostry prowadziły. Tam spowiadał, odprawiał Msze św., tłumaczył z języka włoskiego artykuły i książki religijne. Był zadowolony, bo dwaj synowie Bonifacego Marian i Jan otrzymali święcenia kapłańskie.

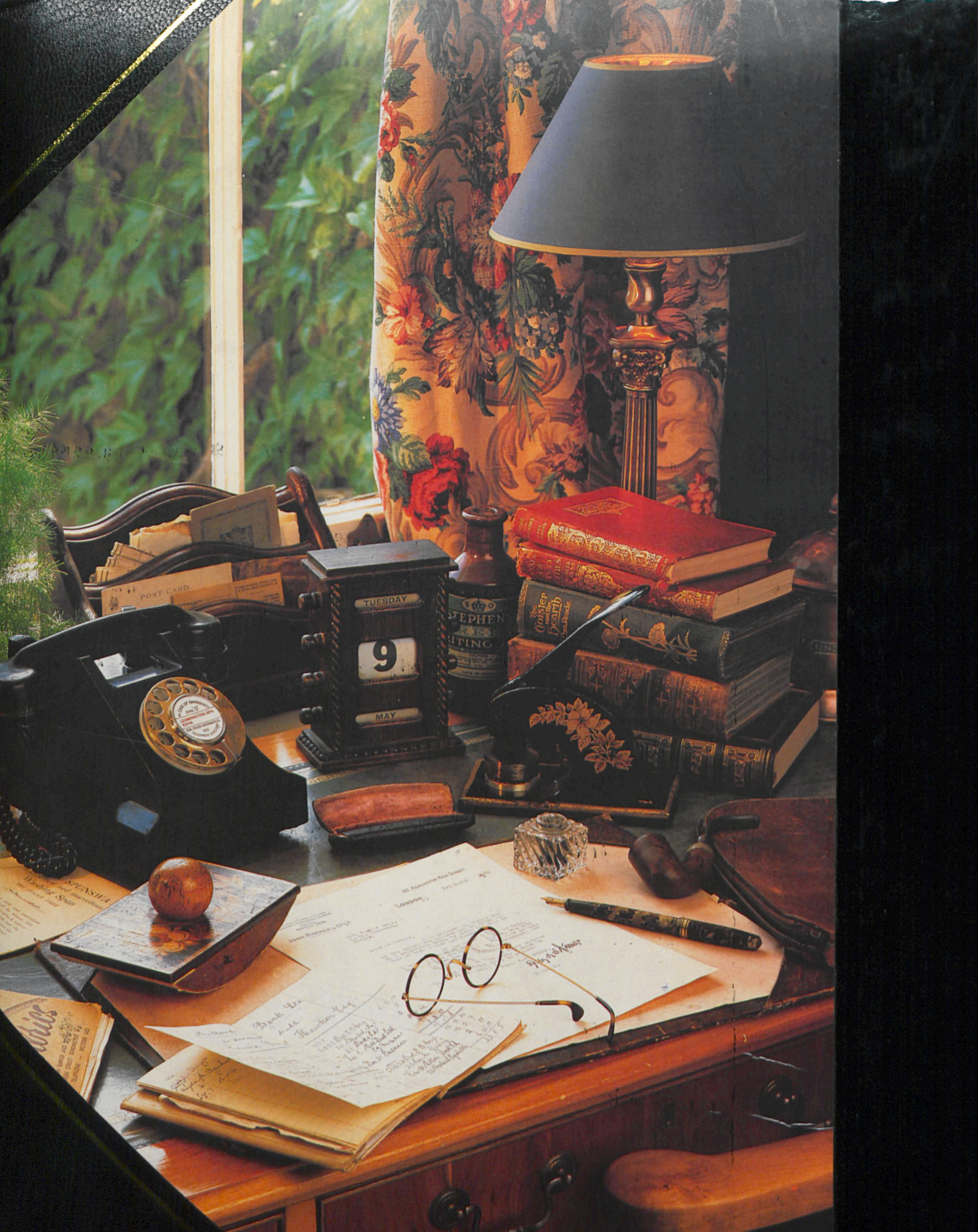
W roku 1960 zdrowie księdza pogorszyło się. Nie mógł przyjechać na pogrzeb brata Bonifacego, który zmarł 5 sierpnia 1960 roku. Za zgodą przełożonych udał się do Łądu Nad Wartą, gdzie w Salezjańskim Instytucie Teologicznym, został spowiednikiem kleryków. Chodził z nimi na spacer i opowiadał o swoim pracowitym życiu, a oni z wielkim szacunkiem słuchali, uznając za żywą historię Zgromadzenia Salezjańskiego. Ksiądz Salezjanin zmarł w Łądzie 17 września 1961 roku i tam został pochowany pośród wcześniej zmarłych współbraci.

Na cmentarzu wisznickim, przy grobie Bonifacego jest tablica upamiętniająca księdza Jana Romanowicza, Salezjanina seniora, zasłużonego Polaka, pochodzącego z parafii wisznickiej.

Wspomnienia zebrał i opowiedział August Jacek Romanowicz







TUESDAY
9
MAY

THE GIPSY'S DEATH
THE GIPSY'S DEATH
THE GIPSY'S DEATH

STEPHEN
WITING

POST CARD

UNITED STATES OF AMERICA
COMMUNICATIONS SERVICE
TELEPHONE SERVICE

SPASHEA
The Spashean Spirit

Whites
LAWRENCE AND COMPANY
100 N. BROAD ST. NEW YORK, N.Y.

Mr. Harrison New Street
Langston, Va. 22079
Dear Mr. Harrison:
I have just received your letter of the 22nd and am glad to hear from you. I am sorry that I cannot give you a more definite answer at this time, but I will do my best to get you a reply as soon as possible. I will be in touch with you again in a few days.

Yours truly,
S. P. Harrison